Fot. ARCHIWUM

TADEUSZ NALEPA:

Czuję bluesa

— Na ostatnim festiwalu w Jarocinie rzuciłeś publiczność na kolana. Dobrze przyjęty został także Czesław Niemen. Czy oznacza to, że stara gwardia polskiego rocka znowu rusza do szturmu?

— My akurat nigdy nie złożyliśmy broni więc trudno tu mówić o powrocie. Oczywiście zdarzały się dłuższe przerwy, ale nigdy nie byliśmy out.

— Analizując regularność, a raczej nieregularność, wydawania płyt, można dojść do wniosku, że było inaczej.

— Nie nagrywałem, bo nie chciano ze mną podpisywać umów. Z różnych powodów. Padło hasło „Muzyka młodej generacji" i jej reprezentanci uzyskali priorytet. Czasem sam musiałem odmawiać, żeby nie przyjąć upokarzających warunków. Przyznaję, że miałem słaby okres. A potem jedna duża impreza i wszystko poszło do przodu. Przypadek po prostu.

— Nie wierzę w cuda i przypadki.

— Może ludzie znowu znaleźli w mojej muzyce coś czego potrzebują, może znudziło im się słuchanie tego samego grania w różnych odmianach? Nie wiem. Wiem, że dobra, uczciwa muzyka zawsze się przebije.

— Blues jest uczciwą muzyką?

— Jest.

— Mówisz to jako bluesman?

— To jakieś nieporozumienie. Nie jestem bluesmanem. Jestem muzykiem i od 20 lat gram muzykę zbliżoną do bluesa. Ma jego wiele elementów, ale jest to muzyka rockowa.

— Masz jednak taką etykietkę.

— Powtarzam, że u nas nie ma żadnego bluesmana. U nas nikt, także ja nie pasuję do definicji. Mówi się, że bluesman powinien być głodny — ja nie jestem, że powinien być czarny — jestem biały. Faktem jest, że blues mnie fascynuje, dlatego wykorzystuję jego elementy. Ale wcale nie chcę udawać Murzyna. Moja ostatnia płyta ma na przykład, charakter czysto rozrywkowy. Stosuję „płodozmian".

— To pozwala ci od 20 lat trwać na estradzie, znaczyć w naszym życiu rockowym? Twoi koledzy zostali dinozaurami albo w ogóle zniknęli.

— Rzeczywiście. Gdy dziś patrzę na prezentacje niektórych z moich kolegów — trochę się wstydzę. Rozumiem jednak, że ludzie różnie traktują muzykę. Niektórzy uważają, że najważniejszy jest szmal. Jeżdżą za granicę, do knajpy. Oczywiście trzeba z czegoś żyć, ale...

Fot. J. LINDER

— Sam też długo występowałeś w Holandii i RFN.

— Tak. Jednak nie grałem do kotleta. Dawaliśmy koncerty w mniejszych czy większych salach, ale koncerty.

— Nie chciałeś robić tam kariery?

— Nie „czułem się" tam, tutaj czuję i rozumiem moich słuchaczy. Wiem, że nie mam czego szukać na Zachodzie i nie szukam.

— Aż tak zależy ci na publiczności?

— Nie zabiegam o jej względy, ale ją szanuję.

— Mówi się, że masz charyzmę. Wszystko, co powie, zrobi Nalepa — liczy się.

— Trudno mi się do tego ustosunkować. Myślę jednak, że sporo ludzi ma do mnie zaufanie w sprawach muzycznych, coś tam w końcu zrobiłem i to się liczy.

— Myślisz że można w ten sposób wyjaśnić klękanie ludzi na stadionie „Victorii" w Jarocinie?

— Sądzę, że to co kiedyś zrobiłem jest jakby nadal aktualne. W rozmowach z moimi fanami dowiaduję się, że słuchają moich płyt, które kupili jeszcze ich rodzice czy starsze rodzeństwo. To coś znaczy. A może zwyczajnie nie dałem jeszcze plamy. Oni to wiedzą i rozumieją.

— Czyli receptą na długie życie muzyczne jest wierność sobie, swojej twórczości?

— Na to nie ma recepty.

— Dwadzieścia lat na estradzie daje ci możliwość porównania, czy ludzie, dla których grasz, są to ci sami, podobni, czy zbliżeni do tych przed którymi debiutowałeś w 1965 roku?

— Tego nie można precyzyjnie określić, ale można opisać. Weźmy obojętnie jaki koncert, nawet bez badań socjologicznych mogę powiedzieć, że 50 proc. to ludzie przypadkowi. Przyszli, bo mieli czas, dostali bilety, ktoś ich namówił, albo po to żeby zobaczyć tego modela Nalepę na żywo. Nieważne. Pozostali jednak przychodzą na konkretnego wykonawcę, słuchać jego muzyki. Są jednak takie imprezy, że lecą drzwi i okna, ale są i takie, że jest sporo pustych krzeseł.

— Traktujesz to jako zlekceważenie ciebie?

— Nie, to jest normalne. Ale pamiętam taki koncert, gdy po skończonym numerze nawet nikt nie klasnął, nie gwizdnął. To było przykre, lecz chyba też normalne, bo Grzegorz Markowski opowiadał mi podobną historię. Grali koncert w jakimś klubie na Śląsku. Sala obliczona była na 120 miejsc, przyszło 35. A to przecież był Perfect, który zapełniał stadion.

— Może zbojkotowano imprezę?

— To nie o to chodzi. Jest to raczej kwestia właściwej reklamy, organizacji. Jeżdżą przecież na trasy ludzie, którzy nie mają nazwisk, a grają kilka imprez dziennie i zarabiają kupę szmalu.

— Bo jeżdżą z glejtem. Chciałbyś?

— Nie, nigdy!

— Nie interesuje cię szmal?

— Owszem interesuje, ale nie muszę jeździć z glejtem, żeby zarobić pieniądze. W ogóle nie muszę jeździć żeby zarabiać.

— Tantiemy?

— W tym roku miałem pięć autorskich, długich płyt i może zabrzmi to jak puszenie się, ale jeden z dyrektorów Polskich Nagrań pochwalił mnie w Pagarcie, że jeszcze nigdy żaden z moich krążków nie został przeceniony.

— Z czego to wynika?

— Z filozofii...

— Nawet guru nie ma wpływu na handel.

— Z filozofii spokojnego człowieka.

— W dalszym ciągu nie rozumiem.

— Zacznijmy od początku. Kiedy zakładałem pierwszy zespół powiedziałem chłopakom: będą koncerty, będą płyty, będzie dobrze. Poprosiłem poetę, teraz się tak mówi, bo kiedyś był to młody poeta, który trafił do Rzeszowa — Bogdana Loebla — a z którym zapoznał mnie Stanisław Guzek i zaproponowałem: będziemy pisać piosenki, robić nagrania... To nie była prawda, nie miałem żadnej pewności, ale po kilku miesiącach to już była prawda, już byłem pewny. Wierzyłem, że tak musi się stać i stało się.

— Wykreowałeś się?

— Teraz to ja nie rozumiem.

— Znam wielu muzyków rockowych i odnoszę wrażenie, że większość z nich to nie są osoby, a kreacje postaci stworzone na scenę i ten image rzutuje na ich działanie nawet w domu, życiu prywatnym.

— Nie uznaję tej metody, choć także znam kilka osób do których można by ją odnieść. Wydaje mi się, że nie tędy droga. Szczerość i autentyczność jest potrzebna i w domu, i na scenie. Ludzie to wyczuwają i chyba potrzebują.

— A może ty też wykreowałeś się w ten sposób i tylko lata wprawy doprowadziły cię do perfekcji?

— Muszę zaprzeczyć, choć ta druga wersja także byłaby komplementem. Zawsze robiłem to co uważałem, że powinienem zrobić. Teraz też mam jakieś pomysły, jakieś plany. Nie muszę się zgrywać, udawać.

— Na zawsze chcesz skazać twoich fanów na widok zamyślonego, prawie nieruchomego faceta śpiewającego, niskim, monotonnym głosem?

— Tak chyba musi być. Jestem sobą, gram swoją muzykę w taki sposób jaki mi odpowiada. Oczywiście jeśli człowiek jest dynamiczny, pełen temperamentu, nie może tego hamować. Musi to co robi przekazywać w sposób autentyczny, zgodny z własnym charakterem. Prawdziwy. Jak by to wyglądało, gdybym ja ze swoją spokojną naturą biegał po scenie, wymachiwał mikrofonem. To byłoby śmieszne, fałszywe i publiczność natychmiast wyczułaby to. Nawet gdyby na widowni siedzieli ludzie, którzy nigdy mnie nie widzieli, nie słyszeli.

— Na ostatnim Jazz Jamboree występowałeś przed B. B. Kingiem. Gdy wspominam ten koncert przypominam sobie, że zachowywałeś się jakbyś był czymś skrępowany.

— Mam na wideo ten koncert. Jest tam scena gdy podchodzę do Bodka i Szakala, coś do nich mówię i oni pękają ze śmiechu. Ja im wtedy powiedziałem: k...a ten B. B. King to ma dobrze. On tu w ogóle nie ma znajomych. Mnie świadomość faktu, że siedzą na widowni, obserwują — krępuje. Wyłączam się więc, zamykam w sobie i nie myślę o publiczności. Gram swoją muzykę.

— Nie obchodzi cię kto jej słucha?

— To zupełnie inna sprawa. Uważam, że mamy wspaniałą publiczność. Nie zgadzam się z twierdzeniem, że jest tępa, głupia przychodzi się wyszaleć, narozrabiać co często sugerują środki masowego przekazu. Najlepiej czuję to i rozumiem po koncercie, który mi nie wyszedł. Kiedy analizuję jego przebieg okazuje się, że źle go sprzedałem, albo byłem nonszalancki, nieszczery. Ludzie to wszystko czują, wychwytują każdy fałsz. Dlatego staram się traktować publiczność jak najpoważniej. Bo nie jest ważne czy zrobisz jakiś greps tylko czy twoja muzyka jest dobra, szczera.

— Czyli udany koncert jest wtedy, gdy artysta traktuje publiczność serio.

— Kiedy jest sobą. Gra swoją muzykę.

— Przez dłuższy czas grałeś z Dżemem, który jest znaną kapelą. Był to sukces. Z czego wyniknął?

— Z Dżemem zetknął mnie przypadek. Zostałem laureatem ankiety Jazz Forum. Dla zwycięzców zorganizowana została trasa koncertowa i muzycy z Dżemu akompaniowali wszystkim wykonawcom. Potem Marcin Jacobson wpadł na pomysł, żeby kontynuować współpracę. Skończyło się to nagraniem płyty „Numero uno", która ukaże się na początku przyszłego roku. Było bardzo fajnie, ale nie mogło dłużej trwać. Wokalista nie może występować tak często jak muzyk. Struny głosowe nie są ze stali.

— Więc powodem rozstania nie był konflikt Nalepa — Riedl.

— Oczywiście nie. Wyobrażasz sobie dojeżdżanie na próby do Katowic? A poza tym, mam inne plany.

— Jakie?

— Chcę założyć nową kapelę. Otoczyć się młodymi muzykami.

— Potrzebujesz świeżej krwi?

— Można to tak ująć. Dobrze czuję się wśród młodych ludzi. Nie uważam się za dinozaura.

— Szukasz muzyków, którzy dostarczać ci będą pomysłów czy akompaniatorów?

— Szukam młodych, zawodowych muzyków. Gdybym chciał stworzyć kapelę akompaniującą wybrałbym ludzi, którzy przepracowali parę lat w knajpach na Zachodzie i potrafią wszystko — o d t w o r z y ć.

— Może znajdziesz ich w grupach alternatywy?

— Nie przepadam za tym rodzajem muzyki i muzykami.

— Ale szukasz młodych.

— To co innego. Ja sam ich wybiorę i stworzę z nich grupę.

— Może działa już jakaś grupa, która by ci odpowiadała.

— Nie wydaje mi się.

— A którą z młodych kapel cenisz najbardziej?

— Strasznie trudno odpowiedzieć na to pytanie. Przede wszystkim dlatego, że nie chciałbym nikogo skrzywdzić, bo nie obserwuję rynku muzycznego. Byłem w tym roku w Jarocinie, ale po swoim koncercie musiałem wyjechać do Szczecina. Na próbie słyszałem Yong Power. Bardzo mi się podobała ich muzyka. Kiedyś szalenie podobał mi się Janerka, podobno Waglewski robi coś ciekawego, ale są to sądy nie poparte solidną znajomością branży.

— Zbigniew Namysłowski powiedział, że Young Power gra o „siedmiu zbójach".

— Namysłowski też gra o „siedmiu zbójach". Możesz to napisać.

— A nie cenisz rzeszowskich kapel?

— Nie będę się wypowiadał na ten temat, bo sam jestem z Rzeszowa i zaraz posądziliby mnie o stronniczość.

— Jednak coś musi być w klimacie tego miasta jeśli działa tam teraz sporo dobrych grup: Wańka Wstańka, Milion Bułgarów, Armia, RSC, 1984...

— Jest tam kapitalne środowisko studenckie. Chłopcy chcą coś robić. Działa profesjonalny Alma Art i z przyjemnością jeżdżę tam na koncerty czy warsztaty. Na przełomie stycznia i lutego jadę właśnie tam na warsztaty bluesowe.

— Powiedziałeś, że nie jesteś bluesmanem.

— To nic. Czuję bluesa i trochę znam się na tej muzyce. A jeśli chodzi o bluesa po polsku czy jak chcą inni o polskiego bluesa — to może nawet jestem bluesmanem?

— A Martyna Jakubowicz?

— Z jednej strony podoba mi się to, co ona robi, z drugiej nie jest to coś co mnie fascynuje. Podoba mi się jej spokój i umiejętność organizowania sobie dobrych kapel.

— Przez 20 lat wiele się pozmieniało w polskim rocku, ty zawsze masz swoje miejsce. Jak to robisz?

— Jestem. To wszystko.

— Zacznijmy inaczej. Co roku powstaje kilka lub kilkanaście kapel, nagrywają, występują przez sezon, dwa i znikają.

— W każdej dziedzinie życia jest tak. Są wzloty, upadki, ktoś się wybija, ktoś znika. Nie chcę wypowiadać się ex cathedra, ale wydaje mi się, że młodzi ludzie mają wiele znakomitych pomysłów, ale z warsztatem jest już gorzej. Zupełnie źle z umiejętnością współżycia w zespole i sukces nieodmiennie rodzi konflikty w grupie i w efekcie rozpad. Dlatego zawsze wolę odpowiadać za siebie.

— Jednak zmiany są znaczne. Często się teraz zdarza, że imprezy są odwoływane, bo nie ma dla kogo grać.

— To nie wynika wyłącznie z faktu, że rock jest słaby, ale z ogólnej sytuacji kraju. Jeśli jest dobrze, jeśli ludzie zarabiają, żyją wygodnie, chcą się bawić. Wtedy są komplety w dyskotekach, na koncertach, sprzedają się płyty. Lecz gdy mają za dużo problemów, a za mało pieniędzy nie myślą o rozrywce, szukają rozwiązań. Mimo to nie jest tragicznie. Sporo można uratować przez sprawną przemyślaną organizację imprezy. Stara gwardia organizatorów już się wykruszyła, zmieniły się warunki i to wszystko musi się jakoś ułożyć. Kiedyś graliśmy 400—500 imprez rocznie i nie jestem przekonany czy to było dobre. Wszyscy poważni muzycy walczyli wtedy o to, żeby mniej występować, a więcej nagrywać i chyba dziś do tego dochodzimy.

— Nasz kulawy przemysł elektroniczno-fonograficzny nie da rady, nie udźwignie tego.

— Cóż ja na to mogę poradzić. Czekam na normalny rynek muzyczny już 20 lat. Zawsze było tak, gdy zaczęło mi się rozkręcać, zaczynały się kłopoty z okładkami na przykład, więc padało. Mobilizowałem się znowu — brakowało pcv na płyty, teraz są z kolei problemy podatkowe. Tak będzie zawsze i myślę, że trzeba się do tego dostosować. Jestem takim typem, że wolę się adaptować do warunków niż je zmieniać.

— Twoje trwanie dowodzi, że masz rację. Czy dlatego by uniknąć niepotrzebnych stresów zaszyłeś się w tych podwarszawskich lasach?

— Nie żyję jak pustelnik. Lubię towarzystwo, ale jest tyle obowiązków... poza tym lubię swój dom. Lubię w nim przebywać, życie rodzinne, gotowanie. Każdy sobie jakoś układa życie. Mnie pasuje taki model. Gdy chcę grać to gram, gdy nie — chodzę po lesie, jeżdżę konno. Nie wydaje mi się żebym wiele tracił unikając warszawskiego młyna.

— Myślisz o emeryturze?

— Nigdy się nad tym nie zastanawiałem. Chyba gdzieś do pięćdziesiątki będę występował.

— A potem?

— Nie wiem. Coś tam będę działał, nie znoszę bezczynności.

— Przygotowując się do rozmowy z tobą przejrzałem wycinki. Rzadko udzielasz wywiadów. Nie lubisz prasy?

— Z dziennikarzami bywało różnie, ale nie mam uprzedzeń. Po prostu nie chcę być gwiazdą pop, nie chcę być na świeczniku, bo stamtąd łatwo spaść.

Rozmawiał
WIESŁAW DOŁĘGOWSKI
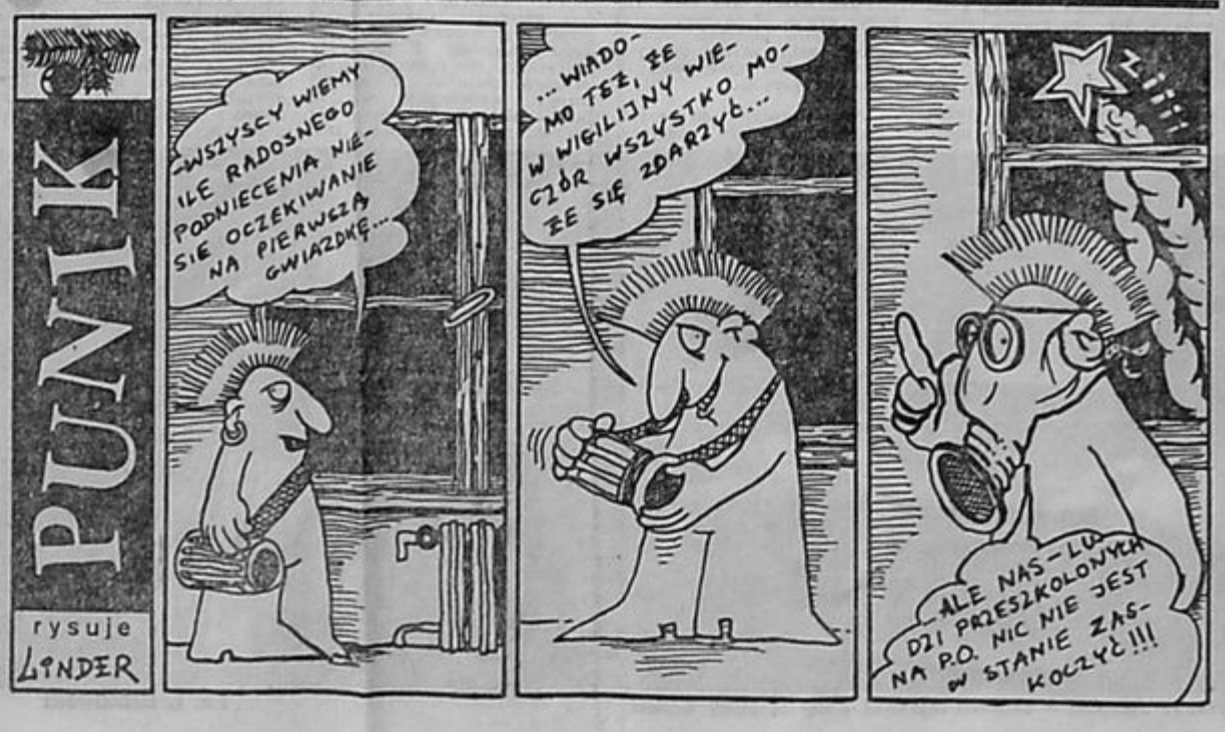
TADEUSZ NALEPA l. 44 — muzyk, wokalista, kompozytor.
Płyty: Blackout, Na drugim brzegu tęczy, 70 A, Blues Breakout, Miro, Karate, Ogień, Kamienie, NOL, ZOL, Żagiel Ziemi, Live, Sen Szaleńca. W styczniu ukaże się kolejny LP. Numero Uno.